Tom XIII. **Nr. 16.**

1. grudnia **1865.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wieczór u Grzegorza.

Majster Grzegorz jest to sobie człowiek nielada w gromadzie stolnickiej i nielada ma we wsi szacunek i zachowanie. A już to nikt tak nie zasłużył na znaczenie w całej gromadzie, jak Grzegorz. Pan Bóg błogosławi ten świat nietylko dobrą dolą, zdrowiem, urodzajem, ale i dobrymi ludźmi. Każdy dobry człowiek to dar boży dla innych ludzi; a takim dobrym człowiekiem jest Grzegorz, majster kowalski w Stolnicach.

Tęgi to majster, jakiego na cztery mile poszukać w koło; uczył się swego rzemiosła w samym Lwowie, a jak co zrobił komu, to i mocno, jakby na wieki, i tanio jakby za darmo. Ale nie tyle jeszcze słynie Grzegorz z swego majsterstwa, co z swego wielkiego rozumu i uczciwości. Majster Grzegorz nim terminował we Lwowie, chodził pilnie do szkoły, wyuczył się tam wiele pożytecznych nauk, a kiedy się wyzwolił i został majstrem, i ożenił się — to jeszcze nie przestał czytać dobre i rozumne pisma, ale kupował i pożyczał ciągle książki i douczał się zawsze czegoś nowego dla własnej i dla drugich nauki.

Bo też pan majster jak każdy inny zacny i rozumny

człowiek, używał co sam umiał, na pożytek wszystkich innych bliźnich, a nic mu nie było milszego, jak gdy jaki gospodarz ze Stolnic zapotrzebował wywiedzieć się o czemś u niego. Wtedy to zaraz rozpowiedział i wyłożył wszystko dokumentnie, że już i nieżal było porzucić nawet robotę a pogwarzyć z majstrem o rozmaitych rzeczach i sprawach.

Otóż ten majster Grzegorz był przed tygodniem we Lwowie za rozmaitemi interesami, a osobliwie dla tego, aby odwidzić swego brata, co jest w tem mieście także bardzo zacnym i porządnym mieszczaninem i ma swój warsztat stolarski. Majster Grzegorz był przez kilka dni we Lwowie, a powrócił dopiero tego Poniedziałku do domu.

Kiedy się już dowiedziano we wsi, że Grzegorz powrócił z miasta do domu, wybrał się gospodarz Mateusz Ćwik pod wieczór do majstra na pogadankę. Po drodze zdybał swego sąsiada Łukasza przed chatą i mówi mu:

— Niech będzie pochwalony! A co Łukaszu, nie poszlibyście ze mną na małą chwilkę do majstra Grzegorza, bo właśnie przyjechał ze Lwowa?

— O toście właśnie moją własną myśl odgadli — prawi Łukasz — bo radbym także widzieć się z Grzegorzem i dowiedzieć się czegoś nowego ze świata.

— A to chodźmy razem Łukaszu — mówi Mateusz.

Zebrali się więc oba gospodarze i poszli do Grzegorzowej chaty. Kiedy weszli do izby i powitali się z majstrem, zastali już u niego kilku innych gospodarzy, którzy także z ciekawości zaglądnęli do Grzegorza. Majster prosił wszystkich, aby sobie pousiadali, a Mateusz mówi:

— Darujcie nam panie majstrze, że was tak pod wieczór nachodzimy, ale to już tak zwykle u nas! Jak tylko po nowinę lub naukę, to prędzej jeszcze niż po podkowę lub po żelazo do pługa biegnie każdy do Grzegorza!

— A mnie to właśnie mocno raduje — mówi majster — że do mnie macie takie zaufanie. Ja tego co mam w głowie, nigdy nie chowam do skrzyni, jeno rad dzielę się z każdym, ile tylko mogę.

— Bóg wam zapłać Grzegorzu — mówią na to gospodarze — otóż powiedzcie nam z łaski swojej, co też tam nowego słychać w wielkiem mieście, boście co tylko powrócili ze Lwowa?

— Kiedy ja przyjechał do Lwowa — mówi Grzegorz — to zastałem tam wielką radość z dwóch przyczyn, oto dla tego, że Najjaśniejszy Monarcha darował winę i wypuścił z więzienia wszystkich tych, co to byli skazani za ostatnią wojnę z Moskalem.

— A my już o tem wiemy, bo już i tędy jeden z nich wracał do domu.... — mówią gospodarze.

— Otóż słuchajcie — mówi majster — co mi się zdarzyło. W zeszły Poniedziałek wieczór wjeżdżam właśnie w miasto. Patrzę, a tu wam każda kamienica oświetlona mnóstwem świec, a cały Lwów tak wygląda jakby za jasnego dnia lub w ogniu! Bo to widzicie w każdym oknie było po kilka świec zapalonych, a ztąd taka jasność biła w mieście, że na ulicach było jakby w dzień prawie. Dopierom się domiarkował że to była *iluminacja.*

— A co to znaczy iluminacja? — pyta Łukasz.

— To jest tyle, co oświetlenie całego miasta — mówi Grzegorz — kiedy się stanie jaka radośna nowina, to jest taki zwyczaj po miastach, że wszystkie okna we wszystkich domach obstawiają światłem na znak radości. Otóż tak właśnie zrobiono we Lwowie na uciechę z łaski cesarskiej.

— Aha, teraz to rozumiemy — mówią gospodarze, a majster Grzegorz dalej prawi:

— Już byłem tak ze trzy dni we Lwowie u brata, kiedy znowu wielka radość powstała w mieście, bo się już sejm zjechał. Z tego powodu były wielkie nabożeństwa, a i ja też poszedłem do katedry, gdzie się solenna suma odprawiała, aby pomodlić się Bogu, żeby nasi posłowie radzili na sejmie dobrze, aby w kraju naszym lepiej było

Na to odzywa się Mateusz:

— Proszę też was panie majstrze, wytłumaczcie mi raz dokumentnie, jak to się ma z tym sejmem, kiedy już o nim wspomnieliście. Słyszałem ja już dużo o tem sejmie, a i sam głosowałem na posła, ale żebym to tak jasno i dokumentnie rozumiał, to jeszcze nie.

— W samą porę mnie o to pytacie — odpowiada Grzegorz — bo właśnie przywiozłem sobie książkę ze Lwowa, co w niej o tem stoi. Z tej książki to się lepiej można o tem dowiedzieć, niż gdybym ja wam sam o tem opowiedział. Jeżeli ochota, to wam z niej trochę przeczytam.

— A prosimy, prosimy! — zawołali gospodarze.

Grzegorz wydobył książkę, poszukał między kartkami i tak czytał:

„Rozum ludzki krząta się zawsze koło tego, jak temu zaradzić, aby w społeczeństwie ludzkiem było równe bezpieczeństwo i równa wszystkim sprawiedliwość. Uznał za skuteczny środek tak rzeczy urządzić, aby naród, o którego skórę chodzi, sam prawa pisał i oddawał w ręce swojego rządu do wykonania. Więc naród ma władzę i rząd jego ma władzę. Naród ma władzę pisania swoich praw, to się nazywa ma władzę prawodawczą; Rząd co tych praw strzeże i wykonuje, ma władzę wykonawczą.“

„Zobaczmy teraz jak naród swoją władzę prawodawczą ma sprawować, jak do pisania praw przystępuje.“

„Z góry zaraz powiedziećby można, że skoro każdy człowiek, jako człowiek, w narodzie jest równy, każdy ma równe prawo swoich pięć groszy i tu wściubić, pisać prawa dla narodu, a przynajmniej mówić czego żąda, a z tego wszystkiego ma się ułożyć księga praw dla narodu. Z takiej roboty powstałoby zamięszanie, nieład i wszelki nierozum, który zamiast pożytku, przyniósłby tylko szkodę, tylko swary, tylko niepokój w narodzie; niktby temu nie wyprowadził końca i wszelka sprawiedliwość i pomyślność narodu leżałaby odłogiem. Ludzie powinni wprawdzie jak najsprawiedliwszą drogą iść ku doskonałości, ale powinni tak iść środkiem drogi, żeby nie upadli prędzej do rowu, niż dojdą do celu zamierzonego. Trzeba pogodzić prawa każdego z prawem do pożytku wszystkich.“

„Jużeście się przekonali w gminie, że się tam nie da zrobić nic dobrego, robiąc hurmem, wszyscy razem, siłą krzyku; tembardziej tego nie można w narodzie, gdzie jest kilka, kilkanaście, albo i kilkadziesiąt milionów ludności. Ani się zebrać na jedno miejsce, ani się rozmówić nie potrafiłby naród

w takiej liczbie. Nie może więc naród inaczej spraw swoich załatwiać, jak przez zaufanych wybranych swoich, którzy w przyzwoitej liczbie zebrawszy się w jednem miejscu, mogą myśli swoje przedłożyć, mogą się porozumieć i uradzić co za dobre i stósowne uznają.“

„Niech to nie zastanawia nikogo, jak można coś przyjąć za głos narodu, co kilkadziesiąt lub kilkaset osób wybranych z narodu uradzą. W sprawach rodzinnych i gminnych znamy to, iż sprawiedliwą i bardzo skuteczną jest rzeczą, iż nieraz rodzina i gmina w sprawie swojej obiera jednego lub kilku plenipotentów czyli pełnomocników; a co taki plenipotent zrobi, za ważne jest uznane i chętnie od rodziny lub gminy przyjęte. Oczywiście, że się ku temu wybiera ludzi znanych z uczciwości i rozumu, ażeby sprawy nie pokpili, lub nie zaniedbali lub sprzedali. Czuje to każdy w takiej sprawie, że łatwiej stawać jednemu lub kilku, niżeli kilkudziesięciu lub kilkuset razem.“

„Przyzna to także każdy, że lepiej poprowadzi sprawę jeden człowiek, który swoją rzecz rozumie i ma swadę, niżeli kilkuset, którzy czasem rozumnie i gębą ruszyć nie umieją. Wtenczas skoro mają między sobą takiego, co to dobrze zrobić potrafi, i o którym są pewni że ich nie zdradzi, nie zaprzeda, nie oszuka, to mu chętnie zdadzą moc swoję, obierają go za swojego obrońcę; a co on zrobi i za nich podpisze, to oni za swoje prawo uważają.“

„Dlaczegożby to samo nie miało się robić w rzeczach narodu? Jeżeli naprzykład każdy powiat w całym kraju wybierze z pomiędzy siebie jednego lub kilku zaufanych i rozumnych ludzi i da im moc radzenia w imieniu tych, którzy ich wysłali, to można przyznać, że skoro ci wszyscy wybrani zgromadzą się, zgromadzeni będą pełnomocnicy całego narodu, a co oni uradzą, będzie tak dobre, jak gdyby to cały naród uradził; bo w tych ludziach naród położył swoje zaufanie i w swojem imieniu działać im pozwolił. Głos tych wybranych będzie tak dobry, jak gdyby cały naród głosował, a wtenczas obowiązkiem jest wszystkich słuchać tego, co ci wybrani uradzą, jakby słuchali woli całego narodu.“

„To jest zresztą jedyny sposób, ażeby swobodnie, rozumnie i spokojnie nad potrzebami kraju obradować można i taki tylko sposób za przynależyty narodowi podawać należy.“

„Każdy z wybranych nazywa się posłem czyli reprezentantem krajowym. Wszyscy razem nazywają się reprezentacją krajową czyli narodową. Zebranie się posłów na narady, nazywa się sejmem. Miejsce obrad nazywa się Izbą poselską czyli sejmową.“

— Otóż tak tu stoi o sejmie, a kilka kartek dalej to jeszcze i to jest wydrukowane, co wam tu przeczytam:

„Posłowie co w sejmie zasiadają, są więc pełnomocnikami narodu, bo z narodu na jego zastępstwo są wybrani. Kiedy oni do rady zasiadają, to tak znaczy jakby cały naród zasiadał, bo oni są przez niego i z niego wybrani na to, aby go zastępowali. Gdzie naród cały zasiąść nie może, tam zasiadają jego wysłańcy, którzy cały naród wyobrażają. Co oni uradzą i uchwalą, to tak znaczy jakby wyszło z ust narodu i z woli narodu. A dlatego to, co uchwalonem zostanie przez reprezentację narodu, jest prawem dla wszystkich, bo to uchwalonem zostało przez pełnomocników, którzy naród, to jest wszystkich jego członków zastępują i wyobrażają.“

„Uchwały te składają się w ręce rządu do wykonania i przestrzegania, aby przez wszystkich szanowane były. Rząd odbiera przez to z ręki narodu moc rządzenia i strzeżenia prawa, a przeto każdy członek z osobna w narodzie, winien temu rządowi posłuszeństwo.“

„Sejm zgromadza się na czas potrzebny i wraca po załatwieniu swoich czynności do domów swoich; rząd czuwa stale nad prowadzeniem wszystkich spraw krajowych, jest nieustającym ich stróżem i wykonawcą woli narodu.“

Tu Grzegorz skończył czytać i pyta:

— A co zrozumieliście już choć po trosze, co to oznacza sejm i dlaczego on obraduje?

— A jużci że już wiemy! Dziękujemy za czytanie bardzo pięknie! — mówią gospodarze.

— Ja wam tu z tej książki — mówi majster Grzegorz — tylko tak urywkiem przeczytał, więc może wam tak nie jest

jeszcze bardzo jasno, ale jak kto tę całą książkę przeczyta, to sobie już wszystko będzie mógł wytłumaczyć jak się patrzy.

— A co to też za taka książka? — pytają gospodarze.

— Ta książka — mówi Grzegorz — wyszła niedawno we Lwowie i taki ma tytuł: *Listy o rzeczach publicznych dla ludu.* Napisał zaś tę książkę pewien pan dobry i rozumny, co się zwie Julian Horoszkiewicz.

— Ale że też to wy panie majstrze — mówi Łukasz — zawsze jakąś książkę nową wyszperać musicie!

— Ha, już to taka moja natura — rzecze kowal — że wolę grosz obrócić na książkę, niż na jakie marności. Jużto rądzę wam z szczerego serca, abyście i wy tak robili. Niejeden z was, niech to nie będzie przymówką, pojedzie do miasta i straci tam nie mało grosza na zabawę i w szynku. Pieniądze te to tak jakby w błoto rzucił. Gdyby każdy wieśniak zamiast tracić grosz na głupstwa i przepijać je u żyda, odłożył parę krajcarków na książkę, toby nabył rozumu dla siebie i dla dzieci, a gdzie jest rozum, tam i dobra dola, bo bez rozumu i nauki nic ci szczęście nie pomoże.

Gospodarze wzięli to sobie do głowy, zadumali się nad słowami Grzegorza, a jeden i drugi wypytał się dobrze, jaka najlepsza jest książka, aby ją sobie zapisać. Przy pogadance zbiegł szybko czas, a że już była późna godzina, więc gospodarze pożegnali Grzegorza i rozeszli się do domu.

My zaś wypisując wam tę rozmowę do *Dzwonka*, radzimy wam także, aby każdy, kto chce wiedzieć, jak to się teraz w rządzie dzieje, kupił sobie tę książkę, co z niej czytał Grzegorz. Co się zaś dzieje na sejmie i co tam na nim radzić będą, o tem my wam tu pisać nie możemy, chyba może kiedy w osobnej książeczce opiszemy wam wszystko.

Powrót z obczyzny.

Moja, moja to strona
Już wygląda z za bora,
Gdzie u brzegu jeziora,
Stoi lipka zielona.

Po tej drodze przed laty
Spokojnego wieczoru,
Z boru biegłem do chaty
I znów z chaty do boru.

Nad jeziora przezroczem
Jak ta wierzba wisząca,
Myślał o czem ni o czem,
O tem świetle miesiąca.

Moja, moja to strona
Już przegląda z za bora,
Gdzie u brzegu jeziora
Stoi lipka zielona.

Żadnej nie ma odmiany
Wszystko stało jak stoi,
Tylko ja tu nieznany,
I ci ludzie nie moi.

Przeleciałoż mi życie,
Szybko, jakby dzień Boży,
Jakbym wyszedł o świcie,
A powracał o zorzy.

Wyjdźcie matko, ojczymie,
Siostro moja pociecho,
Znajomego któż przyjmie,
Kto ugości pod strzechą?

Niktże na mnie nie czeka,
W wiosce ludzie już nowi,
Któż dziadowi z daleka
Dobrem słowem odpowie?

Teofil Lenartowicz.

Dwaj Macieje.

Historya gromadzka.

We wsi Wyszynie żyło dwóch bogatych gospodarzy. Obaj się zwali Macieje, ale ludzie pododawali im do ich imion dwa różne przydomki. I tak nazwali jednego Macieja Zuchem a drugiego Kutwą. A stało się to z takiej przyczyny.

Maciej Zuch był sobie chłop swarny i wesoły, lubiał zabawić się i hulać, zawsze spraszał do siebie i do karczmy na wódkę i przekąskę, przytem był junak jak to mówią, a pobić się albo pokochać to u niego stało za jedno. Dla tego go też przezwali ludzie Zuchem.

Maciej Kutwa był to sobie znowu człowiek całkiem innego sposobu. Nie lubił pijać i hulać, nie sprawiał traktamentów, nie wodził się po szynkach, nie wykrzykiwał i nie hałasował, jeno żył sobie cicho i pracowicie i przysparzał ciągle majątku i grosza. Ludzie przezwali go Kutwą.

I nie było też nigdy, jak Wyszyn Wyszynem, dwóch gospodarzy tak odmiennych i różnych, coby jak to mówią na inne żyli sobie kopyta, jak obaj Macieje.

Bywało kiedy Maciej Zuch w karczmie przewodzi, to aż na drugim końcu wsi huki się rozlegają. Jak zasiędzie za stołem, to sprosi do siebie pół gromady, a sypie papierki

żydowi jak śmiecie i raczy wszystkich to wódką, to piwem, to miodem, czego tylko kto zapragnie. A jak się podochoci, to sypnie skrzypkowi grosiwa, zasunie czapkę za lewe ucho, wytnie podkówkami i zawinie w tańcu, gdyby hoży parobczak, choć już gospodarz i ma lat ze czterdzieści.

Tymczasem Maciej Kutwa do karczmy nawet nie zaglądnie, wódki się święcie wyprzysiągł, tańcować już zapomniał, a kiedy u Mendla huki i wiwaty, on się kręci koło chaty, pracuje coś koło gospodarstwa, zachodzi koło chudoby i zawsze coś ładzi lub naprawia.

Maciej Zuch, kiedy się zejdzie z sąsiadami, to już nikogo nie słychać, jeno on sam rozprawia, a tak ostro i swarnie gada, tak mu słowa jurno z ust płyną, żebyś przysiągł, iż najwięcej ma rozumu z całej gromady — zaś Maciej Kutwa mało bardzo gada, a dużo myśli, zawsze tylko z cicha i pokornie przemawia a kłócić się, to już i za żadne pieniądze z nikim nie będzie.

Maciej Zuch kiedy jest w mieście na jarmarku, to aż rynek chodzi, wszędzie go pełno, wszyscy mu się z drogi ustępują, a on sobie sunie od winiarni do winiarni, od sklepu do sklepu, a wszędzie pierwszy, wszędzie rozkazuje i krzyczy jak starosta — Maciej Kutwa zaś na targu trzeźwo i naczczo interesa robi, cicho i pokornie się sprawi, a ledwie co kupi lub sprzedą, zawraca spokojnie do domu.

Maciej Zuch, kiedy jedzie z miasta do domu, to konie pędzi jak charty, wóz furczy po drodze na złomanie karku, a sam Maciej z batoga na wszystkie cztery strony jak z fuzyi pali, krakowiaki wyspiewuje, a z drogi nie ustąpi się nikomu, choćby i biskup sam jechał — zaś Maciej Kutwa wraca pomalutku i cichutko, nie katuje chudoby, ustępuje się ludziom z drogi, a zamiast wrzeszczeć, coś sobie dumą na wozie.

Maciej Zuch, kiedy wejdzie do kościoła, to tak posuwisto i zamaszysto, huczno i bundziuczno, że się aż wszyscy spoglądną — Maciej Kutwa wsuwa się do świątyni na palcach, klęka w kąciku i modli się z pokorą.

Maciej Zuch, kiedy go żebrak prosi o jałmużnę, to mu z pychą rzuci kilka groszy i „znaj żem hojny“ zawoła —

Maciej Kutwa, gdy w chatę jego ubogi zaglądnie, opatrzy go, czem może, ale po cichu, bez pychy i hałasu, ot tak, jak mówi pismo święte, że lewa ręka niewie, co prawa dała.

Otóż opisałem wam obu Maciejów, powiedzcież mi teraz który był lepszy?... Kto rozumny, temu się pewnie lepiej podoba Maciej Kutwa, bo był pracowity, cichy i pokorny, bo mało gadał, a wiele robił, bo się nie pysznił i pana nie udawał, nie hulał i nie pijał, ale chaty i dobytku pilnował!

Tak sobie pewnikiem każdy rozsądny pomyśli — ale niechnoby to kto był powiedział w Wyszynie, że Maciej Kutwa lepszy od Macieja Zucha! Ho ho! daliby tam byli jemu za takie gadanie! Wszyscy gospodarze z Wyszyna wychwalali pod niebiosa Macieja Zucha, on zawsze był u nich pierwszy i najmędrszy — a dla czego? Oto dla tego, że umiał mądrego udawać, krzyczeć i hałasować, że wodził innych po szynkach i płacił gorzałkę.

Za to znowu nikogo tak nienawidziła gromada wyszyńska, jak Macieja Kutwę. Nie tylko, że go przezwali Kutwą, ale jeszcze wygadywali na niego, co ślina do ust przyniosła, mówili, że sknera, że ma twarde serce, że skryty i głupi — a dla czego?... Oto, że nie pochlebiał się nikomu, że nie natrącał się z swym rozumem, że nie lubił pić i hulać, a w karczmie noga jego nigdy nie postała!

— Co nam tam Maciej Kutwa — mawiali wyszyńscy — to mruk i sknera, Juda nie człowiek! Toć to z nim ani nie pohulać ani się zabawić, zawsze by jeno siedział w domu i za groszem gonił, on sam nigdy kropelki nie łyknie a cóż dopiero by innych traktował. Co innego Maciej Zuch! To mi człowiek! I sam się napije i drugiego upoi, czy u siebie czy u Mendla wódka i miód na zawołanie, głowę ma i rezon co się zowie. Jak zacznie gadać, jak zacznie krzyczeć, to i cały urząd by zagadał i zakrzyczał!...

Owoż tak gadali sobie wyszyńscy gospodarze. Maciej Zuch coraz to bardziej rósł w pychę, ale coraz też bardziej wytracał się z dobytku, bo nie pracując nigdy, jeno hulając dniem i nocą, nie miał ani czasu ani ochoty krzątać się koło gospodarstwa. Tymczasem Maciej Kutwa nie hulał, nie przewodził,

ale pracował rozumnie i przyrastało mu też mienia z dniem każdym.

Tak stały rzeczy, kiedy we wsi przyszło obierać wójta. Gromada zebrała się w szkolnym budynku na wybór — Maciej hałasował i krzyczał, i już zawczasu się chwalił, że zostanie wójtem. I nie trudno mu się było chwalić, kiedy już na kilka dni naprzód prosił i raczył całą gromadę, aby go tylko wybrano na wójta i obiecał po wyborze sprawić taką ucztę, że jej jak Wyszyn Wyszynem nie zapamiętano jeszcze. Kiedy gospodarze z sobą rozmawiają, a każdy już przechyla się na Macieja Zucha, woła tenże:

— No macie mnie obierać, to wybierajcie, a pójdziemy zaraz do Mendla, który już nam napitek przygotował!

Wnet nadszedł też xiądz proboszcz z urzędnikiem i pyta gromadę:

— A co macie już może kogo na wójta? Gdybyście mnie posłuchać chcieli, to jabym wam poradził Macieja, ale nie Zucha, jeno tego coście go ni z tego ni z owego Kutwą nazwali. Człek to zacny, pracowity i pobożny, nie miele on dużo językiem, ale za to myśli i robi dużo.

— Już to my przepraszamy dobrodzieja — mówią na to kilku z gromady — bo my się już zgodzili na Macieja Zucha! Niech żyje nasz wójt Maciej Zuch!

— Niech żyje! — zawołała cała gromada a xiądz proboszcz widząc, że słowa jego daremne, wyszedł z izby.

Cała zaś gromada z Maciejem Zuchem na przedzie poszła zaraz do Mendla i tam dopiero trwała hulanka aż do późnej nocy, a Maciej Zuch przechwalał się okrutnie, co to on dla gromady nie zrobi dobrego, jakim to on będzie sprawiedliwym i tęgim wójtem.

Oj był też tęgim wójtem, ale dla próżniaków i hulaków chyba, bo ciągle tylko zapraszał gromadę do karczmy, a tymczasem nietylko sprawy gromadzkie ale i jego własny majątek marniały do reszty.

Tak się miały rzeczy, kiedy naraz przyszedł dla wyszyńskiej gromady termin zapłacenia dużej sumy, którą była zaciągnęła w kasie lwowskiej. Wypadł z tej sumy spory grosz na każdy

numer, a choć pieniędzy ludzie nie mieli, to przecież każdy z ostatniego musiał się ściągnąć, aby zapłacić co na niego przypadło, bo inaczej byłaby spadła na całą gromadę egzekucya.

Kiedy już się zebrała cała suma, wyseła gromada wójta Macieja Zucha, aby odwiózł pieniądze. Wyjechał też Maciej do Lwowa — ale stanąwszy w mieście przez swą lekkomyślność dopytał się nieszczęsnej przygody.

Jużem wam opisał, jakiej to natury hulackiej był Maciej Zuch. Skoro przyjechał do Lwowa, to ledwo z woza zlazł, zaraz poszedł do pierwszego lepszego szynku, aby sobie pohulać po swym zwyczaju. Tu zastał kilku miejskich szubrawców, i począł się przed nimi wychwalać, co to on za wielki człowiek, jaki to on wójt tęgi, ile z sobą ma gromadzkich pieniędzy.

Miejscy oszuści słuchali z uwagą a widząc, jaki to człowiek, poczęli mu się podlizywać i pochlebiać, honorować i na traktament prosić, a zwali go zawsze to „panem wójtem,“ to „panem plenipotentem dobrodziejem,“ to „szanownym posłem i komisarzem gromadzkim“ i Bóg wie, jak jeszcze inaczej.

Macieja jakby kto na cztery konie wsadził, taki z tego był kontent i na wzajem począł poić hultajów, całować się z nimi i ściskać — aż nareszcie tak się winem i wódką uraczył, że go hultaje wyprowadzili z szynku gdzieś w boczną uliczkę jak dziecko i tu mu odebrali wszystkie pieniądze.

Maciej Zuch leżał bez opamiętania przez całą noc na ulicy, aż go nad ranem wzięli policaje. Gdy się tak wytrzeźwił, patrzy aż tu pieniędzy gromadzkich nie ma! Oj byłże tam dopiero lament i desperacya! Ale co przepadło, to przepadło! Policya szukała tam wprawdzie owych rabusiów, ale w takiem wielkiem mieście to sztuka wytropić zbrodniarzy, a zresztą Maciej nic nie pamiętał, co się z nim po pijanemu działo. Zrobiono z Maciejem Zuchem protokół a potem wysłano go żandarmem do tego powiatu, do którego należał Wyszyn. Tu go zamknęli do aresztu — a tymczasem dowiedziała się gromada wyszyńska o całem nieszczęściu.

Dopieroż teraz płacz i rozpacz był w gromadzie. Na drugą taką sumę, jak ta, co ją Maciej Zuch zaprzepaścił, nie było się z czego zdobyć, a tu nadeszło już pismo do gromady, że

jak za trzy dni nie zapłaci długu do Lwowa, to wszystkim gospodarzom przedane będą grunta i cały dobytek. Prawdziwy sądny dzień nastąpił w Wyszynie! Wszyscy gospodarze przeklinali Macieja Zucha i tę godzinę, w której go wójtem obrali — ale cóż pomogą przekleństwa!

Jak przyszło owe straszne pismo do gromady, to tak jakby w każdego piorun ugodził i zaraz się wszyscy zbiegli do budynku szkolnego, aby coś radzić na takie wielkie zniszczenie i nieszczęście. Ale radźże tam, gdzie nie ma ratunku! Zamiast co radzić, strapieni gospodarze wyrzekali na swego wójta, że ich do ostatniej nędzy przywiódł. Kiedy tak wszyscy lamentują bez nadziei ratunku, otwarły się drzwi od szkoły i wszedł do izby ów drugi Maciej, co go to gromada nie lubiła i Kutwą przezwała. Wszyscy się na niego wypatrzyli, co też powie, a on tak rzecze:

— Panowie gromada! Jesteście jak widzę w wielkiem strapieniu, bo też i jest czem się martwić. Ale same wyrzekania i lamenta nic nie pomogą. Wy tam wprawdzie nie mieliście nigdy do mnie szczerego serca, choć jak Bóg widzi nie wiem dla czego. Ale przecież może ja wam dam jaką radę. Bóg pobłogosławił mojej pracy, uzbierałem sobie grosz jaki taki, a kiedy gromada w nieszczęściu, to nie pożałuję mej pracy. Do Lwowa patrzy się dwa tysiące reńskich — otóż ja sam dam jeden tysiąc gromadzie jako pożyczkę na kilka lat bez procentu a na drugi tysiąc, to już jakoś prędzej się ściągniecie!

Jak Maciej Kutwa tych słów domówił, jakby duch wstąpił w całą gromadę. Zaraz się wszycy zbiegli do Macieja i poczęli go ściskać i całować i serdecznie za poratunek dziękować. Radość była wielka w gromadzie a xiądz proboszcz, który właśnie wszedł na to wszystko, tak przemówił do ludzi:

— Otóż patrzcie, jak się wstydzić powinniście, żeście tego szlachetnego człowieka nie lubili i ogadywali. Dla tego, że Maciej był pilny i pracowity, nazwaliście go mrukiem, że był oszczędnym, nazwaliście go sknerą, że was nie wodził po karczmach i nie poil, nazwaliście go kutwą! A oto widzicie, gdyby on nie był pilnym i oszczędnym, czyż miałby was z czego poratować? A gdyby was nie mógł albo nie chciał

poratować, coby się stało z wyszyńskiej gromady? Oto zeszłaby była na nędzę i zniszczenie. A Maciej Zuch, co was poił, co tak hałasował i przewodził i coście w niego jak w Boga wierzyli, co wam dobrego zrobił, oto w nieszczęście was wtrącił! Maciej Kutwa nie wrzeszczał, nie pił i nie hulał z wami, ale pracował, a ludzi nie wedle słów ale wędle uczynków sądzić trzeba! Krowa co dużo ryczy, mało mleka daje!

Gromada wzięła to sobie do serca, za Bożą pomocą i Macieja poratunkiem spłaciła dług, wybrała go na miejsce Zucha na wójta i miała na zawsze dobrą naukę, która aby i wam poszła na dobre z tej historyi o dwóch Maciejach.

Wojtek ze Smolnicy.

Opowiadania pana Wincentego

o morzu i co jest w morzu i pod morzem.

I.

W dworze bujnickim mieszka stary pan, zacny dziedzic, kochany i szanowany bardzo przez cały ludek wiejski. Dziedzic ten długo nie mieszkał w swojej wsi Bujniku, lecz obracał się ciągle po szerokim świecie. Za młodu służył wojskowo i bił się z Moskalami, a potem wyjechał het w dalekie kraje i dopiero pod starość wrócił do swoich. Otóż u tego bujnickiego pana dziedzica było mnogo czeladzi, a wszystkim było w służbie dobrze, jak nigdzie. Toć też garnęło się do bujnickiego dziedzica zewsząd huk ludzi na służbę, że gdyby tak wszystkich przyjąć, toby i dwór cały na samo pomieszkanie nie wystarczył — a i tak, gdy było zaglądnąć wieczorem do czeladniej izby, to i narachować nie można było wszystkich lokajów, furmanów, stajennych, stróżów i innych służących.

Nad tą wszystką czeladzią był najstarszym stary Wincenty, stary i wierny sługa, który z swoim panem cały świat przewędrował a teraz na starość przy nim jadł chleb spokojny. Poczciwy to był staruszek ten pan Wincenty, a we dworze nazywano go panem marszałkiem, bo tak się zwali po staropolskich dworach nadzorcy nad służbą. Był też pan Wincenty

i mądry bardzo człowiek, i jak jął opowiadać, to i odsłuchać się nie było można, czemu i nie dziw było, bo pan marszałek Wincenty i długo żył na świecie i bywał w rozmaitych stronach, kędy drugi i nogą nie postanie.

Toć też zawsze, kiedy po robocie zejdzie się cała służba na wieczerzę do izby czeladniej, to zaraz po jedzeniu zaczyna pan Wincenty prawić, a wszyscy nadstawiają uszy, jak na kazanie.

Pewnego wieczora, już po jedzeniu, była cała służba w izbie czeladniej i słuchała, jak jej coś opowiadał pan Wincenty, który siedział przy ciepłym kominie, kiedy wszedł do izby fornal Jędrek, zmokły jak ruda mysz a kłapiący od zimna zębami jak bocian.

— Niech będzie pochwalony! — przywitał się z ludźmi.

— Na wieki wieków! — odpowiada wraz z innymi pan Wincenty. — A kędyżeś to bywał Jędrku, że ci się i na wieczerzę nie kwapiło!

— Oj zaznał ja biedy, zaznał — mówi Jędrek i suszy się przy kominie a na jadło jeno z ukosa spogląda — toć wracając z fornalką z dzwonieckiego przysiołka musiałem przejeżdżać przez Wisłę. Oj najadłem się strachu. Toć wam powiadam, tak wezbrała Wisła, a tak szumi jak morze!

— Oj co też ty pleciesz — mówi pan Wincenty — albożeś ty widział kiedy morze, piecuchu?

Jędrek jeno się zaśmiał i w głowę poskrobał i rzecze:

— Oj coby też ja tam na morzu robił! Pan Wincenty to co innego, człek bywały! to i musiał widzieć morze.

— Jużcić żem widział i pływał po niem całemi miesiącami — mówi pan Wincenty.

— A jakżeście wy się dostali na morze, panie Wincenty! zawołali wszyscy od razu — opowiedzcież z łaski swojej, bo to będzie co posłuchać.

— Jak ja się dostałem na morze? — rzecze Wincenty — ot taka to była historja. Kiedym jeszcze był chłopakiem jeździłem po flisie hen daleko aż do Gdańska. Otóż pewnego razu, kiedy znowu zapłynęliśmy galarami po Wiśle aż do Gdańska — począłem się w tem mieście, co to dawnemi czasami

należało do królestwa polskiego a teraz je Prusak trzyma, rozglądać i przypatrywać się rozmaitym ciekawościom a potem poszedłem przypatrzyć się jeszcze dobrze portowi.

— A co to jest port, panie Wincenty? — zapytał Stefko kredencarz.

— Port moi kochani — prawił pan Wincenty — jest to miejsce przy lądzie, gdzie morze już spokojne i gdzie okręta wpływają, aby wysadzić ludzi i towary na ląd, lub zabrać z sobą na dalszą podróż. Do takiego portu zajeżdżają rozmaite okręta, i czekają tam tak długo, dopóki w dalszą podróż się nie udadzą. Do takich portów wybierają się najlepsze i najspokojniejsze miejsca przy lądzie, a zwykle przy wielkich miastach, a ludzie robią tam rozmaite urządzenia dla wygody, aby okrętom dobrze było przybijać. Są w portach także rozmaite maszyny, aby okręta wywlekać na ląd, jeżeli potrzebują naprawy, lub aby na nie towary ładować. Otóż i w Gdańsku jest taki port, i jego to właśnie oglądałem. Dziwiłem się tam niejednej rzeczy ciekawej a naokoło mnie szwargotali Niemcy i inni cudzoziemcy. Wtem jakiś pan do mnie przychodzi, uderza mnie ręką po ramieniu i pyta po polsku:

— Czy ty może Polak?

— A jużci, proszę Wielmożnego pana! — odpowiedziałem.

— Flis? — pyta pan dalej.

— Flis, panie — odpowiadam.

— Słuchajno, a nie popłynąłby ty ze mną? — pyta pan dalej — jadę hen daleko na morze dla zwidzenia świata, potrzeba mi służącego, a chciałbym mieć swojaka. Zapłacę ci dobrze i będę miał staranie o tobie, jeżeli tylko wiernie mi służyć będziesz.

Byłem młody, ciekawy i sierota, niemiałem nikogo z krewnych w domu, świata kawałek rad byłem widzieć także, a pan ów podobał mi się z wejrzenia, więc nieminęło godziny a jużeśmy się zgodzili.

— A kto był ten pan? — zapytał Marcin lokaj.

— A jużci że nie kto inny — odpowiada Wincenty — jeno nasz stary pan, nasz dziedzic, u którego i wy służycie. Z nim to popłynąłem na morze, a co tam widziałem — o tem na przyszły raz wam opowiem.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.